Nr. 208.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 29 Lipca 1900.

Zbiornice pocztowe.

Reorganizacya poczt prywatnych, wchodząca obecnie w życie, zwiększa znacznie sieć komunikacyi, stwarzając obok właściwych urzędów pocztowych, pomocnicze stacye, tak zwane „zbiornice", w tych miejscowościach, w których nieznaczny ruch nie usprawiedliwia otwierania urzędów. — Zadanie zbiornic pocztowych polega na dystrybucyi znaczków, na przyjmowaniu zwykłych posyłek listowych i telegramów, na wypróżnianiu skrzynek, ekspedyowaniu przyjętych, odbieraniu i doręczaniu nadchodzących korespondencyj, niemniej (na podstawie prywatnej umowy z interesentami) na pośredniczeniu w wysyłce poleconych i wartościowych kawałków, pakietów i przekazów.

Taka instytucya zbiornic pocztowych ma nader donośne znaczenie dla Galicyi, która pod względem sieci pocztowej stoi poza szeregiem innych krajów monarchii. Słaby ruch korespondencyj przeszkadza tutaj kreowaniu nowych urzędów, zwłaszcza, iż z góry można przewidzieć w wielu wypadkach w razie utworzenia urzędu, brak w nim sił żywotnych.

Porównując pod względem sieci pocztowej Galicyę z pobratymczemi Czechami, Morawami a nawet Bukowiną, znajdujemy ją zawsze na pośledniem miejscu.

Stwierdza to dowodnie tabela, ułożona na podstawie dat z r. 1898.

	km.²	miejscowości	mieszkańców	urzędów pocztow.
Czechy	51.948	12.903	5,843.094	1.381
Morawy	22.222	3.405	2,276.870	646
Śląsk	5.147	730	605.649	183
Bukowina	10.452	575	646.591	105
Galicya	78.497	15.793	6,607.816	834

Podług tego zestawienia przypada jeden urząd pocztowy na:

	km.²	miejscowości	mieszkańców
Czechy	37·61	9·43	4.231
Morawy	34·37	5·27	3.524
Śląsk	28·12	4·00	3.309
Bukowina	99·54	5·47	6.158
Galicya	94·12	18·93	7.923

Przed laty trzydziestu, idąc wzorem Saksonii, Prus i Wirtembergii, poczęto wprowadzać w Austryi w życie instytucyę wiejskich listonoszów, mających za zadanie przebiegać okręgi poszczególnych urzędów pocztowych i za poborem oznaczonych z góry opłat przyjmować i doręczać posyłki. W praktyce okazało się rychło, iż nie we wszystkich prowincyach znajduje urządzenie to podatną glebę zwłaszcza, że brak w tej mierze warunków w Galicyi, do tego stopnia, iż w całym kraju istniał r. 1898 tylko jeden jedyny wiejski listonosz, podczas gdy Austrya niższa zatrudniała 557, Czechy 526, Morawy 118, Śląsk 30, a Bukowina 10 ludzi.

Inaczej przedstawia się naszem zdaniem rzecz ze zbiornicami pocztowemi, których pierwszy zawiązek napotykamy już przed ćwierćwiekiem w Tyrolu i Austryi Górnej. — W r. 1898 istniało na Morawach i Śląsku 167, na Bukowinie 6 tego rodzaju zakładów, wprawdzie nieureglowanych jeszcze w pełni i bez szczegółowego określenia stanowiska dotyczącego funkcyonaryusza, lecz w każdym razie oddających niezgorsze usługi publiczności.

Poznawszy dodatnią stronę instytucyi, wprowadza je obecnie ministerstwo handlu ogólnie w życie, a okoliczność ta nastręcza Galicyi łatwą sposobność do ożywienia ruchu pocztowego bez nadzwyczajnych wydatków i opłat ze strony interesentów.

Trudno dokładnie oznaczyć, jak gęsto powinny być rozsiane po kraju urzędy i zbiornice pocztowe, nie zbłądzimy atoli, przyjmując za normę, iż każdy kompleks trzech miejscowości może żądać dla swych potrzeb jednego urzędu, lub zbiornicy pocztowej. — Gdy w Galicyi istnieje w 15.793 miejscowościach tylko 834 urzędów pocztowych, wymagałoby „idealne" uzupełnienie sieci komunikacyjnej, stworzenia w kraju około 4.400 zbiornic, których część miałaby następnie w miarę rozwoju ruchu uledz przemianie w formalne urzędy pocztowe.

Do tak idealnych stosunków, do jakich dochodzi w tej mierze Śląsk, Galicya nie rychło dojść zdoła, w każdym jednak razie powinno jakich 1000 zbiornic pocztowych pokryć w ciągu najbliższych kilku lat obszary kraju.

Za obsługę zbiornic pocztowych przeznacza rząd honorarya, nie przekraczające z reguły rocznej kwoty 150 koron. Nieznaczna to suma, lecz nie do odrzucenia ze strony mniej zasobnych obywateli kraju. Na ten uboczny dochód zwracamy uwagę nauczycieli szkół ludowych, którzy bez ujmy dla obowiązków właściwego swego zawodu mogą spełniać zadanie w zbiornicach. — Z natury rzeczy nadają się do powyższych celów także sklepiki Kółek Rolniczych. Pominąwszy samo honoraryum rządowe, przysporzy objęcie zbiornic pocztowych i w innym kierunku dochodu tym sklepikom, interesenci bowiem odwiedzając dla celów pocztowych zbiornice, nie omieszkają załatwiać w sklepiku przy tej sposobności różnego zakupna, a ludność wiejska z większą ufnością korzystać będzie ze sklepików, na których ujrzy państwowe godło, nie ulegając tak łatwo podszeptom współkonkurentów na polu kupieckiem.

Walenty Ćwik.

Niepowołani.

Mój znajomy X. wydał tomik poezyi, Y. napisał czteroaktową sztukę, Z. chodzi od tygodnia z dwutomową powieścią po wszystkich redakcyach.

Wszyscy dziś „tworzą". Nigdy może jeszcze nie mieliśmy takiej obfitości młodocianych talentów, co obecnie. Dosyć, aby komuś przyjęto do wydrukowania wierszyk lub gładko skreślony obrazek — a już ów ktoś porzuci, albo przynajmniej lekcywarzyć sobie zacznie swe dotychczasowe zajęcie, bo raz ujrzawszy swe nazwisko wydrukowanem, uważa się za literata i na tem jedynie polu pragnie pracować.

Zwykle postanowienie takie jest wielce zgubnem. Jeden, drugi, trzeci wierszyk, jedna, druga nowelka — poszły mu gładko — i nie dziwota! Każdy z nas w swem życiu doświadczał wielu wrażeń, spotykał się z najrozmaitszymi ludźmi, łatwo więc o temat do paru „utworów" a zwolna przy dużem oczytaniu się przez samo naśladownictwo, jako tako poradzić sobie można.

Ale oto gdy już młodziutki „autor" zasmakował w „literaturze" gdy już wszystkie ciocie i kuzynki nie mówią o nim inaczej, jak o „literacie" — następuje przełom. Z jednej strony tematy do wierszyków i nowelek się wyczerpały, z drugiej redaktor woła pewnego pięknego popołudnia:

— Panie, zalewani jesteśmy nowelkami i wierzami. Natomiast uczuwamy dotkliwy brak artykułów wszelkiej treści społecznej, ekonomicznej etc. etc. Możeby pan spróbował coś w tym rodzaju dla nas napisać?

Młody „autor" próbuje: rozgląda się po świecie, wertuje czasopisma, łapie z księgarni najnowsze wydawnictwa — nic! Pozbawiony daru spostrzegawczości, przenikania w głąb dusz ludzkich i zjawisk życiowych, nic z otaczającego światka wysnuć nie umie.

Ale, że zasmakował w robocie „literackiej" obchodzi w dalszym ciągu redakcye z coraz nieudolniejszemi nowelkami i wierszykami, których już nawet czytać tam nie chcą.

Do innej pracy się nie weźmie.

Znam takiego młodzieńca. Nic nie robi, choć mu proponują zajęcia względnie korzystne.

— Jesteś pan w złych warunkach finansowych, weź zajęcie u K. Parę godzin trzeba posiedzieć, ale zarobisz pan sobie 30 zł. miesięcznie — z tego już żyć można — ale młodzieniec, choć już od tygodnia walczy z nim rządca o komorne, skrzywiony odpowiada:

— Eh — to się nie opłaci. Ja napiszę parę wierszy, drobiazg jakiś i to samo zarobię, nie krępując się ani czasem, ani zależnością od nikogo.

A tymczasem wierszy jego nikt drukować nie chce i w dalszym ciągu ów młodzieniec trwa w tarapatach finansowych, nie chcąc się zrzec tytułu „literata".

W ostatnich dniach na scenach warszawskich teatrzyków debiutowali „autorowie" którzy przedstawiają typ wielce zbliżony do wyżej opisanego. Bywając często w teatrze, łatwo na wzór znanych utworów ukuć rzecz, która podniesiona grą artystów, wydawać się będzie jako tako. Na premierę pójdzie publiczność tłumnie, jak zawsze z ciekawości, drugie, trzecie przedstawienie ściągnie kilkadziesiąt osób, ktoś z życzliwych postara się o bukiet i reklamkę w dzienniku, a choć po paru przedstawieniach sztuka zejdzie z afisza, bo nikt chodzić na nią nie zechce, chociaż krytyka odmówi jej wszelkich zalet — autor uważać to będzie za intrygę „kliki" — i nie zechce uwierzyć, że taki „utwór" jak jego potrafiłby napisać mniej więcej każdy, ktoby miał po temu czas i ochotę.

I znów taki „pisarz" rzuca swe dotychczasowe zajęcie, poświęca się literaturze i marnuje się w nieodpowiedniej dlań roli.

Ogród pieśni.

(Z wystawy paryzkiej).

„Ulica paryzka" nie dorównuje podobno „ulicy kairskiej" (rue du Caire), którą oglądali wszyscy, co zwiedzali wystawę z r. 1889. Być może, iż z tej przyczyny zebrało się pewne grono przedsiębiorców do odtworzenia „rue du Caire" gdzieś w pobliżu wystawy. Ale trudno zestawiać te dwie attrakcye. Ulica paryzka ma najzupełniejszą racyę bytu, jeżeli zważymy, że stanowi miniaturę pewnej części Paryża, a mianowicie Montmartre'u z jego teatrzykami i „artystycznemi szynkami" (Cabarets artistiques).

Skoro w „Starym Paryżu" mają goście wystawowi zapoznawać się ze stanem muzyki w dzisiejszej Francyi (codzień odbywają się tam koncerty pod dyrekcyą Colonne'a) skoro w Wielkim pałacu pokazuje się im krocie obrazów, czemu nie miałaby „rue de Paris" odsłonić im pewnej strony twórczości literacko-muzycznej, mogącej zapewne pod niektóremi względami ulec zarzutom, ale w każdym razie bardzo charakterystycznej. Piosenkarstwo i lokalny satyryczny dramat, mają główną swoją siedzibę w Paryżu.

Repertuar teatrzyków i „cabaretów" ulicy paryzkiej składa się z piosenek i lokalnego satyrycznego dramatu. Zmieni się zapewne kilkakrotnie w ciągu wystawy, zmiany te jednak będą się dokonywały tylko w ciasnych granicach. To też charakterystyka ogólna, może w każdej chwili posłużyć do zrozumienia cech piosenek i jednoaktówek, z jakimi spotkać się można zwiedzając wystawę paryzką.

Piosenkarstwo sięga we Francyi czasów bardzo dawnych. Głośni trubadurzy i truwerzy południowej i północnej Francyi, nie są niczem innem, jak średniowiecznymi piosenkarzami. Po nich wszycy poeci francuzcy uprawiają pieśni, układają piosenki, a jeżeli nie zawsze śpiewają je sami, to szybko znajdują się ludzie, dorabiający do nich muzykę. Od Eustachego Deschampsa (1320—1408) i Alaina Chartiera (1380—1458) do Musseta i Wiktora Hugo „piosnka" chanson, jest formą poetycką, lubianą przez wybrańców muz. Dopiero parnasiści i późniejsi po nich „młodzi" wzgardzili nią.

W naszych to dniach powstał wyraźny rozłam między poetą a piosenkarzem. Dziś poeci mają pisma i księgarzy: „Mercure de France" „Ermitage" „Revue blanche" Vaniera i Lemerre'a piosenkarze zaś swoje kawiarnie wieczorne: „Boite à Fursy" „Ambassadeur" „Olympic" i dziesiątki innych.

Niegdyś Berangera ceniono na równi z innymi znakomitym poetami francuskimi, a przecież był to tylko piosenkarz śpiewający w kawiarniach. Hegezyp, Moreau i Piotr Dupont są wybitnymi poetami, choć główny ich dorobek to piosnki, które śpiewali podobnie jak Bérangere. I Rousseau bawił się piosenkarstwem, a wynikiem jego prób był „Wiejski znachor" (Le devin du village), który gra wielką rolę w historyi muzycznego dramatu.

W wieku XVIII piosenki miały charakter słodkawy, sielankowy za Ludwika XV, zjadliwy za rewolucyi. W piewszej połowie naszego stulecia streszczał się w nich bardzo często duch opozycyi. Trzej wspomniani wyżej poeci rzucali nieraz w swoich pieśniach rękawicę stosunkom istniejącym i ruchy polityczne przyczyniły się nie mało do ich wsławienia.

Na wystawie obecnej, wysokie ogrodzenie obejmuje niezbyt duży ogródek, gdzie widzowie piją piwo lub grenadynę i słuchają zarazem śpiewaków. Płaca za pierwszą konsumcyę, jest płacą za wstęp. Jestto ogród pieśni.

Śpiewacy Marien, Leon Bert, Poquelin i panie Chambaret, Gyriane, Mindes i inne, śpiewają wyłącznie piosnki z pierwszej połowy XIX stulecia i dawniejsze. Słyszy się więc tu Bérangera, Desaugiersa, Duponta, Darciera, Nadauda i po hałasie, jaki obija się o uszy przez całą ulicę, wchodzi każdy z przyjemnością w to zacisze.

Rozbrat między dzisiejszymi pieśniarzami a poetami nie uprawnia wcale do odmówienia niejednemu z pośród pierwszych, talentu poetyckiego. Zdarza się nieraz, że piosnka jakiegoś nieznanego śpiewaka, obijająca się o mury kawiarniane, ma świeżość polnego kwiatu.

Obecnie bardzo wybitnym piosenkarzem jest Arystydes Bruant Postawmy go obok Bérangera a zobaczymy, jaka różnica między dwiema epokami literackiemi odbija się na wszystkiem. Tam, w czasach romantyzmu jest zajęcie się sprawami szerszemi i polot, tu realizm owinął swojemi splotami pieśń. I tu nie brak często nuty prawdziwie humanitarnej, ale wyrywa się ona dopiero z realistycznego obrazka. A i świat nie poetyczny, entuzyastyczny, ale codzienny i ponury. Bohaterami nie sę tu: jeniec przesyłający przez jaskółki pozdrowienie do swoich, nie stary wojownik, ani zakochana dziewczyna wiejska, ale najczęściej szumowiny społeczeństwa wielkomiejskiego, nędzarze strąceni na najniższy szczebel materyalnego i moralnego bytu.

Mówią żargonem paryzkim, który jest często żargonem zbrodni, ale nieraz poeta wkłada im w usta słowa tak proste, pozwala im skarzyć się tak zwięźle, a tak wzruszająco, że ilekroć spiewał gdziekolwiek, tłumy zbiegały się Dziś posiada wielki majątek, mimo to przyrzekł kilka wieczorów teatrzykom ulicy paryzkiej.

Do najciekawszych w liczbie owych teatrów należy „Czarny kot". Jest to właściwie odtwo-

---

84

Prawo starszeństwa.

Powieść

Champola.

(Ciąg dalszy.)

Queenie nie znała ich wszystkich z imienia, nie wiedziała nawet ilu ich jest, ale było ich razem ze dwudziestu, licząc lokajów, parobków i innych.

Wszystko to ludzie odważni, energiczni, a choćby niektórzy nawet byli przekupieni, to pozostali przybiegną na ratunek.

Queenie wybiegła z pokoju.

Z obawy zwrócenia na siebie uwagi nie wzięła z sobą światła i szła po ciemku.

Kilka razy zabłądziła, zmieniała kierunek, wchodziła na schody i wracała, aż wreszcie przekonała się, że zarówno wszystkie wychodzące na zewnątrz, jak i w komunikacyi wewnętrznej drzwi były zamknięte.

Niepodobieństwem było wydostać się z pałacu.

Przystanęła w ciemności i doznała wrażenia, jak gdyby śmierć i ją chwytała już za gardło.

Teraz dopiero zrozumiała ohydny plan Teresy i pomimo przerażenia rozumowała:

Tak, trzeba było oddalić Franciszka, mężczyznę, spadkobiercę, świadka; trzeba było przeszkodzić małżeństwu jego..

Jeżeliby z powodu Teresy spotkało Waltera jakie nieszczęście, w takim razie brat jego mógłby zaślubić ją..

— Chyba nie będę żyła — szepnęła.

Nakazywał jej to obowiązek, uczciwość, miłość, obawa o życie bliźniego, lekceważenie własnego i wzgląd na siebie samą.

Utracić Franciszka byłoby dla niej rzeczą ciężką, ale o wiele cięższą byłoby widzieć go...

— Mogę umrzeć wraz z Walterem i dla niego — szepnęła rozegzaltowana.

Powziąwszy to postanowienie, zastanowiła się nad położeniem i doszła do wniosku, że źle uczyniłaby, gdyby postąpiła wbrew woli Waltera, bezużytecznym wysiłkiem odejmując mu osstatnią szansę ratunku.

— Ale nie zabronił mi czekać i czuwać nad sobą.

Ostrożnie, szukając miejsca, w którem mogłaby się ukryć w razie potrzeby, podeszła na palcach do apartamentu siostry i szwagra.

Cisza zalegała w około.

Księżyc już zaszedł, prawdopodobnie była już druga po północy, wszyscy pogrążeni byli we śnie.

Queenie zdobyła się na odwagę.

Naprzód przyłożyła ucho do drzwi pokoju Teresy, następnie otworzyła je ostrożnie i spojrzała w głąb.

Teresa spała snem ciężkim; oświetlona nocną lampką jej twarz, nawet we śnie zachowała ślady troski.

Widocznie sprowadziło ją do łóżka zmęczenie, gdyż leżała na pół ubrana i nie przebudził jej nawet lekki szmer otwieranych drzwi.

— Teresa śpi!

Od czasu jak straszne przypuszczenie nawiedziło jej umysł, Queenie wahała się ciągle pomiędzy krańcowymi przypuszczeniami; najmniejsza okoliczność wywoływała w niej prawie szyderczą niewiarę, lub najpotworniejsze przypuszczenia.

Nie umiała utrzymać równowagi, godzić prawdy z prawdopodobieństwem, tego co jej powiedziano lub co widziała, z tem co dozwalał przypuścić rozum.

I teraz spostrzegłszy w zbolałej twarzy Teresy zaprzeczenie swych podejrzeń, szepnęła:

— Walter jest maniakiem, a ja niedorzeczną.

Była gotową wejść, obudzić siostrę i zapytać jej.

Wstrzymało ją dane Walterowi przyrzeczenie i niepewność, od tylu miesięcy trzymająca w zawieszeniu jej umysł utrudzony i energię bezużyteczną.

Powoli zwróciła się do zajmowanego przez Waltera pokoju sąsiedniego.

Był zamkniętym, lecz obecność lorda Chartrana nie ulegała zaprzeczeniu.

Słychać było pospieszny, nieregularny oddech chorego, pogrążonego w śnie gorączkowym.

Queenie uspokajała się coraz więcej.

Dopiero teraz, gdy obawy jej rozwiały się, odczuła trudności i utrudzenie tej dziwnej wyprawy nocnej wśród ciemności i zapytywała siebie zakłopotana, co pozostaje jej teraz uczynić. Może należy wrócić do siebie po światło.

Ale zatrzymywało ją na miejscu jakieś przeczucie.

Spojrzała w jedno z okien korytarza wychodzących na park, lecz księżyc już zaszedł i niebo pokryte było chmurami.

Zaledwie można było rozróżnić białą powłokę ziemi i zwieszające się nad nią cienie drzew

Nic nie można było dojrzeć i należało polegać tylko na słuchu.

Uspokojone na chwilę nerwy Queenie, zaczęły drżeć znowu.

Zdawało się jej, że na końcu korytarza usłyszała lekki szmer.

Nie powiększał się on, lecz zbliżał się ku niej.

Cała zamieniona w słuch, pożerała go, chwytała najmniejszy objaw.

Szmer ten był tak cichym, tak lekkim, że nie wiadomo było, czemu go przypisać; można było przypuszczać, że są to ostrożne kroki kota, lub poruszenia skrzydeł ptaka, napewno zbliżanie się jakiegoś zwierzęcia, oswojonego z ciemnością.

Queenie od pierwszej chwili domyśliła się obecności Stefana i doznała zadowolenia na myśl, że będzie mogła podpatrzeć go, pochwycić go na czem, gdy on ani domyślał się tego i nie mógł odpłacić jej tem samem.

Przytulona do muru, nie widziała go, lecz czuła, jak mijał ją, widziała w wyobraźni jego postawę, twarz i oczy złośliwe, śledziła go w ciemności, chwytała każdy ruch jego.

Stefan zatrzymał się na chwilę przed drzwiami Waltera, poczem podszedł do następnych, otworzył je po cichu i wszedł ukradkiem jak złodziej.

Na nieszczęście, nie był złodziejem i trudno było przypuszczać, że wszedł do tego pokoju dla kradzieży.

Queenie nie wiedziała, która była wówczas godzina, wszelako ta noc wydała się jej dziesięć razy dłuższą od nocy zwyczajnych.

Najmniejsze światełko jutrzenki nie pokazywało się na niebie i prawdopodobnie nie prędko miało się pokazać.

Dość pozostawało czasu dla spełnienia tego, co zamierzano.

Wszystkie podejrzenia Queenie zmieniły się prawie w pewność i wywoływały coraz większą egzaltacyę.

Żałowała, że nie przysposobiła się lepiej, że nie zaopatrzyła się w jaką broń i zapałki, a nie mogła już teraz tego uczynić, czuła bowiem, że ani na jedną chwilę nie powinna opuszczać wybranego posterunku.

Rodziła się w niej jakaś nowa dusza; dusza obłąkanej lub bohaterki? zależało to od zasadności lub bezpodstawności jej przekonania.

Ale nawet bohaterkom najtrudniej jest zdobyć się na cierpliwość.

Wyczerpana z sił, usiadła na stopniu wąskich i twardych stopni.

Z góry uderzał na nią prąd zimowego powietrza, przenikał do kości i gasił gorączkę, jaka trawiła ją przed chwilą.

Czas płynął powoli, w ciszy, chłód stawa się coraz dokuczliwszym.

Powoli odrętwienie przygłuszyło ból w rękach i nogach i przeniknęło aż do mózgu.

Sen odzyskał swoje prawa, nieprzeparty sen wieku młodego, ubezwładniający pasterza na kamieniu, żołnierza na wylocie działa.

(C. d. n.)

Bluzki zarzutki i płaszcze angielskie otrzymał Magazyn nowości E. Machayskiego, Lwów, róg ul. Jagiellońskiej i 3 Maja.

rzenie słynnego „cabaretu“ „Chat noir“ który istniał przez szereg lat na Montmartre i był swego czasu najgłośniejszym wśród rówieśników. Rzeczywiście na rozgłos swój zasługiwał. Następnie z powodu choroby założyciela Rudolfa Salisa, zakończonej wkrótce śmiercią, został zwinięty.

Najlepsze części repertuaru wybrali organizatorowie odbudowy i można powiedzieć, że jak niegdyś „Chat noir“ w Paryżu, tak dziś odtworzenie jego na ulicy paryzkiej należy do najbardziej przyciągających osobliwości. Posłyszeć w nim można pieśni satyryczne tak pełne wykwintnego humoru, jakimi błyszczał „Czarny kot“ przed sześciu, siedmiu laty. Huard i Delorme wydrwiwają głupotę prowincyonalną, Fan i Moguet wyśmiewają rozmaite plagi życiowe. Najlepsi piosenkarze popisują się swoim dowcipem przed słuchaczami.

Poetyczny, podnoszący dział przedstawia „teatr cieniów“ pomysłu Henryka Risière'a. W sali ściemnia się i tylko średnich rozmiarów matowa płyta błyszczy się na przodzie izby. Stanowi ona niejako scenę, bo wnet poczynają ukazywać się na niej postacie i widoki, złączone wspólną akcyą którą opowiada nawpół śpiewanym, rytmicznym tonem ukryty za „sceną“ aktor. Czasem osób mówiących jest kilka.

Przedstawienia te posiadają niewysłowiony wdzięk. Obecnie dają w „Czarnym kocie“ „Epopeję napoleońską“ Caran d'Ache'a „Frynę“ Donnay'a i Rivière'a „Pochód za gwiazdą“ Rivière-Fragerolle'a i „Złoty wiek“ Willette'a.

Pozostaje jeszcze powiedzieć kilka słów o „Teatrze wesołych pisarzy.“ Tu wystawiane są krótkie komedyjki Wolffa, Redelspergera i innych. Wartość ich artystyczna mniejsza, ale mają tyle werwy, że słuchając ich, można sobie zerwać boki od śmiechu.

Zwierciadło.

(Baśń chińska.)

Była sobie wioska, gdzieś w głębi wielkiego państwa bogdychana. Szumiały pola ryżowe, rosły krzewy herbaty, a wśród nich uwijali się ludzie o żółtej cerze, skośnych oczach i długich warkoczach, jak przystało uczciwemu Chińczykowi. I cicho było w wiosce, ile że obcy przybysz nie zaglądał tutaj zupełnie.

W wiosce mieszkało zgodne małżeństwo Tsin-Tao i piękna Lu. On chodził w pole, ona przygotowywała mu na obiad i wieczerzę garść ryżu i filiżankę herbaty, płacili podatki mandarynowi i żyli sobie spokojnie

Pewnego razu poszedł Tsin-Tao odnieść ładunek herbaty do miasta, do którego docierali już cudzoziemcy ku utrapieniu synów tej wielkiej krainy. Gdy wracał brzegiem rzeki, na której kołysały się dżonki i całe tratwy, niby jakie miasto, spostrzegł na drodze jakiś świecący przedmiot, upuszczony być może przez „obcego szatana“. Tsin-Tao chciał go ostrożnie ominąć, ciekawość jednak przemogła, podniósł więc, spojrzał — i padł na kolana. Z polerowanej tafli spoglądała ku niemu twarz ogorzała, żółta ze skośnemi oczyma, wygoloną głową i kołyszącym się warkoczem.

— Żywy portret mojego ojca! — krzyknął Tsin-Tao. — Skąd on się tu wziął? Chyba dobre duchy rzuciły mi ten obraz z krainy umarłych.

I wstawszy, Tsin-Tao owinął w szmaty szczęśliwy talizman, poczem ostrożnie umieścił go na piersiach.

Gdy przyszedł do domu, nie powiedział nic o swym skarbie pięknej Lu, albowiem nie chciał, by wiadomość o talizmanie rozchodziła się zbyt daleko. Nie wiadomo, coby sobie o tem pomyślał mandaryn, a z nim nie można żartować. Sprawiedliwy jest, więc bije przedewszystkiem w pięty.

Tsin-tao umieścił tedy swój skarb w różanej wazie porcelanowej, którą otrzymał w spadku po ojcu i która stała na uboczu. Wazy tej nikt nie dotykał, jako drogocennej pamiątki, Tsin-tao jednak żył odtąd w dziwnem rozdrażnieniu, oczekując wciąż jakiegoś cudu, którego zapowiedzią był niewątpliwie portret jego ojca, rzucony przez dobre duchy.

Często też porzucał robotę i wracał do domu, aby ukradkiem sięgnąć do wazy i zobaczyć raz jeszcze portret swego ojca.

To wszystko zauważyła piękna i troskliwa Lu. Z początku niepokoiła się trochę, potem coraz więcej, aż wreszcie zdjęła ją niepohamowana chęć sprawdzenia, jakie to źródło troski poczciwego jej męża siedzi ukryte w różanej wazie.

Zakradła się więc raz z ostrożna, sięgnęła ręką i wydobyła zawiniątko. Co to jest? Rozwinęła szmaty, dobyła świecącej płytki, spojrzała — i oniemiała z oburzenia.

Na płytce był obraz kobiety! A więc to jest przyczyna troski męża? Z tego powodu Tsin-tao jest taki niespokojny, rozdrażniony i z pola ucieka? Och, ci mężczyźni! I ma też do czego wzdychać? Twarz żółta, oczy złe, brwi ściągnięte, fałda na czole... Musi być dopiero złośnica!

A ona, Lu, zawsze taka łagodna, taka pobłażliwa, taka troskliwa! ale dość tego! Teraz się porachujemy, panie mężu!

Właśnie w tej chwili od strony pola ryżowego szedł Tsin-tao zadumany. Lu ukryła się za drzewo, a gdy się mąż zbliżył, wybiegła ku niemu i wyciągając błyszczący przedmiot zapytała groźnie:

— Co to jest?

— To — rzekł zaniepokojony Tsin-tao — jest portret mojego ojca, zesłany mi przez dobre duchy, ale niewiasto, nie mów nikomu o tym talizmanie, bo siłę mu wszelką odbierzesz.

— Aha! — wołała Lu — mam milczeć! Nie, niech się dowie cała wioska, niech się dowie sam mandaryn, jakie ty chowasz portrety „swojego ojca...“ Chcesz mi może wmówić, że to nie jest obraz kobiety, kobiety złej, która może oczarowała cię przez ten właśnie talizman.

I krzyczała tak Lu, przysuwając się coraz bliżej do męża, gdy nagle z za płotu ukazała się twarz pomarszczona z siwemi kosmykami zamiast wąsów i brody, a głos drżący zapytał:

— Dzieci, niech dobre duchy będą z wami. A czegoż to się kłócicie?

— Żona moja oszalała, dobry bonzo! pierwszy odezwał się Tsin-tao. Chowałem w wazie portret mojego ojca, a ona utrzymuje, że to jest portret niewiasty.

— Tak! — nie przestawała wołać Lu — chowasz sobie obrazy niewiast, mnie zdradzasz zapewne, ty niegodziwcze!

— Cicho, dzieci! — rzekł z powagą bonza — pokażcie mi przedmiot sporu. Ja was rozsądzę

Przystali oboje, bonza bowiem był to człowiek nabożny i uczciwy. Zwiedził kawał świata i widział wiele wśród swoich i obcych nawet ludzi. Tedy patrzyli z uszanowaniem jak bonza oglądał pilnie płytkę srebrną i czekali, co im rzecze. On zaś nie spieszył się, gładził brodę, muskał wąsy i rzekł:

— Dzieci, porzućcie spór i żyjcie dalej w zgodzie. Pomyliliście się oboje. Ten obraz nie przedstawia ani twojego ojca, Tsin-tao, ani żadnej niewiasty, piękna Lu. Wyobraża zaś on poczciwego bonzę, którego za cnoty dobre duchy pewno zabrały do nieba. Ten talizman tylko też w ręku bonzy znajdować się powinien.

Jakoż włożył go do torby i odszedł, błogosławiąc pogodzonemu małżeństwu i ważąc w myśli cenę srebrnego zwierciadełka.

Opieka nad pijakami.

Zgromadzenie szwajcarskich psychiatrów uchwaliło zasady do ustawy o postępowaniu z pijakami. Wyjmujemy z nich najważniejsze:

Przewodnią myślą tych uchwał jest, że pijacy są chorymi, a nie karygodnymi — z czego wynika, że ustawy o pijakach nie mają mieć charakteru policyjnego, że wykonanie ich ma być poruczane władzom zdrowotnym, nie zaś policyjnym i że wreszcie pijacy nie mają być oddawani do domów pracy przymusowej i zakładów poprawczych, ale uleczalni do zakładów leczniczych, a nieuleczalni do schronisk czyli azylów. W zakładach leczniczych mogą być umieszczani nietylko tacy, których tam władze przymusowo oddadzą, ale i ci, którzy dobrowolnie tego zażądają.

Przed przymusowem oddaniem następuje ostrzeżenie — ponieważ możliwe jest pod wpływem takiej przestrogi przystąpienie do towarzystwa wstrzemięźliwości. Prawo uczynienia wniosku przymusowego umieszczenia w zakładzie mają: rodzina, gmina, władze rządowe i sądowe i opieka nad ubogimi. Postępowanie ma być szybkie, uproszczone, niekosztowne — ale połączone z ostrożnościami, aby uniknąć możliwych nadużyć. Orzeczenie o przymusowem umieszczeniu w zakładzie, musi być zatwierdzone przez wyższą władzę zdrowotną.

Leczenie trwa 6 do 18 miesięcy, koszta postępowania i leczenia, o ile środki pacyenta nie wystarczają, mają być pokrywane z 10 części dochodu z monopolu wódczanego przypadającej gminom. Jeżeli pijaństwo ojca rodziny sprowadza na rodzinę niedostatek, to należy dać jej wsparcie z tego samego funduszu, ale tak, ażeby przez to nie przeciągało się leczenie. Umieszczenie w zakładzie leczniczym dla alkoholistów ogranicza z reguły osobistą zdolność działania tylko o tyle, o ile tego cel umieszczenia w zakładzie wymaga Poddanie pod kuratelę tylko wyjątkowo jest konieczne.

Zakłady lecznicze dla alkoholików nie powinny być zakładami państwowemi, wtedy bowiem ich policyjny charakter szkodziłby ich działalności. Mają to zatem być zakłady przez państwo subwencyonowane i pozostawać pod jego nadzorem. Zakłady te muszą starać się o ścisłe stosunki z towarzystwami wstrzemięźliwości.

Autorowie projektu tak są przeświadczeni o konieczności takiego związku, że piszą: „Założenie zakładu leczniczego dla alkoholików bez związku z dobrze prowadzonemi stowarzyszeniami wstrzemięźliwości — jest bezużytecznym wydatkiem. Natomiast „schroniska dla nieuleczalnych pijaków“ muszą być zakładami państwowemi — a powstać mogą tak, jak zakłady dla obłąkanych przez umowy między kantonami“.

Że te uchwały nie zostaną na papierze, dowodzi uchwała rady rządowej kantonu Thurgau — która opracowała projekt ustawy o alkoholikach. Wedle projektu, osoby oddające się nałogowi pijaństwa, mają być oddawane do zakładu leczniczego, jeżeli są uleczalne — a nieuleczalne albo do zakładu dla obłąkanych, albo do schroniska dla alkoholików. Umieszczenie w zakładzie jest przymusowe albo dobrowolne. Przymusowe może być orzeczone tylko na podstawie opinii lekarza powiatowego, albo kantonalnego lekarza obłąkanych. Koszta utrzymania ponosi państwo — jeżeli zachowany będzie minimalny czas leczenia sześciomiesięczny.

W Zurychu powstał komitet, który zwraca się do ogółu z wezwaniem do subskrypcyi celem założenia „wolnego od alkoholu domu ludowego“. Celem instytucyi tej będzie: Utrzymanie jadalni, dającej dobry a tani wikt rano, w południe i wieczorem, albo też wedle życzenia i częściowo. Można będzie także brać potrawy do domu. Napoje alkoholiczne są stanowczo wykluczone. Dalej będą w domu ludowym: kąpiele w wannach i natryskowe — czytelnia, biblioteka, sala do zabaw itp. Koszt budowy i urządzenia — nie licząc placu pod budowę — jest preliminowany na 680.000 franków. Kapitał towarzystwa ma się składać z udziałów po 25 fr. Towarzystwo ukonstytuuje się, gdy będzie subskrybowana kwota 300.000 fr.

Armia pokoju i pracy.

Paryż posiada wszystko: reklamowane głupstwa i instytucye oryginalne pożyteczne, mało komu znane, a godne poznania. Ci co jadą do Paryża, żeby się bawić, ani pojęcia nie mają, ile pracy, zdrowych i trzeźwych myśli i urządzeń powstaje w tem hulaszczem mieście, które przecież jest także miastem uczonych i artystów i wbrew twierdzeniu niemieckich filistrów nie przestało być i nie prędko przestanie być miastem światłem „ville lumière.“

Nawet ludzie rozumni i inteligentni, znalazłszy się w Paryżu, zwiedzają osobliwości, okrzyczane na cały świat: zakłady naukowe, muzea, wielkie magazyny, teatry, a nie pomijają także Moulin-Rouge, nie mają jednak ani czasu ani sposobności zwiedzić wielu nowych urządzeń społecznych, bardzo interesujących, a będących w całem znaczeniu tego wyrazu fenomenalnemi zjawiskami.

Jedno z takich zjawisk nazywa się „Union chrétienne de jeunes gens de Paris“ związek chrześcijański młodzieży paryskiej. Stowarzyszenie to nie jest religijnem. Nazwa „chrześcijański“ związek — oznacza tylko tyle, że stowarzyszenie zorganizowane jest na zasadach i w duchu moralności chrześcijańskiej.

Pewien dziennikarz, który tę instytucyę poznał osobiście, opisuje ją w wyrażeniach pełnych zachwytu:

„Poszedłem odwiedzić swego znajomego, mieszkającego w związku młodzieży chrześcijańskiej. Wyobrażałem sobie, że to być musi rodzaj klasztoru. Tymczasem zobaczyłem coś wspaniałego, co mnie olśniło. Związek ma własny dom w środku Paryża (Rue de Trévise, 14) w pobliżu wielkich bulwarów. Pokazano mi wspaniałą bibliotekę, zawierającą dzieła z najrozmaitszych gałęzi nauki i literatury, czytelnię z mnóstwem gazet i poważnych czasopism we wszystkich językach, jadalnię, gdzie za franka i 10 centymów można dostać doskonale przyrządzone zdrowe śniadanie lub obiad. Na parterze znajduje się wielka sala gimnastyczna, wzorowo urządzona, a obok niej plac do ćwiczeń w jeździe na kole. Widziałem wspaniałą salę przyjęć gości i kilka sal konferencyjnych, w których słuchać można wykładów i odczytów z dziedziny religii, nauk społecznych, nauk ścisłych, psychologii itp. a wykładane są też tam całe kursy nauki języków, nauk handlowych i techniki — osobne sale przeznaczone są na muzykę i koncerty. Widziałem wreszcie doskonale urządzone łaźnie i jako szczyt komfortu, prawdziwy ołtarz hygieny: wielki basen napełniony świeżą wodą, w którym członkowie stowarzyszenia kąpią się i ćwiczą w pływaniu...

Cóżto za Eldorado w śródmieściu paryskiem? W korytarzach, w czytelni, w basenie widziałem ludzi rozmaitego wieku, przeważnie jednak młodych, którzy czytali, jedli, kąpali się, bawili się konwersacyą i korzystali ze wszystkich dobrodziejstw instytucyi. Cóż to za szczęśliwcy? To tylko członkowie stowarzyszenia. Jakiś bohaterski czyn spełnić należy, żeby zostać członkiem? Żadnego. Trzeba tylko chcieć, a mieszkając w jakimkolwiek kraju, być członkiem związku, przyjechawszy zaś do Paryża, korzystać z dobrodziejstw instytucyi. Co mówię do Paryża. Stowarzyszenie ma filie w większych miastach Francyi, Niemiec, Szwajcaryi, w Kopenhadze. Sztokholmie, New-Yorku, Rio de-Janeiro i t. d. Wszędzie członkowie korzystać mogą z podobnych urządzeń, a co najważniejsza nie będą się czuli w obcym kraju odosobnionymi, gdyż odrazu przyłączą się do grona towarzyszy“.

Związek ten powstał już dawno, bo w 1855 roku. Celem jego dopomagać rozproszonym, często osamotnionym młodym ludziom do wzajemnego zbliżenia się na gruncie zasad chrześcijańskich. Cel piękny, ale w naszych czasach nawet moralne dobro osiąga się z pomocą materyalnego. To też związek stał się prawdziwie żywotnym dopiero od tej chwili, kiedy milioner amerykański Stokes, uznając doniosłość idei związku, ofiarował mu około miliona franków.

Najlepszą stroną tego stowarzyszenia jest to, że wolnem jest od wszelkiej wyłączności. Nie pyta swych członków o wyznanie, ani o narodowość. Jest międzynarodowem i ogólno-ludzkiem. Organizacya jego jest prosta, a zarazem skomplikowana: prosta o ile chodzi o zasadniczą ideę, zawierającą się w dwóch wyrazach: miłość chrześcijańska — skomplikowana skutkiem wszechstronnej działalności, bo rozrosło się szeroko, jak zdrowe drzewo, zdrowemi sokami żyjące.

Jakież zobowiązania i ciężary przyjmują na siebie członkowie związku? To właśnie najciekawszą jest stroną tej instytucyi, że nie krępuje swych członków zobowiązaniami, a przyznaje im szerokie prawa i wygody. Czy sądzicie, że może stowarzyszenie ściśle określa przepisy życia, żąda, żeby słuchać kazań lub coś podobnego. Bynajmniej. Stowarzyszeniu chodzi co najwyżej o nieznaczny etyczny wpływ uspołecznionego życia i wykładów światłych ludzi, uczonych i moralistów. Są odczyty religijne narówni z naukowemi, ale członków nikt nie zmusza do słuchania tych wykładów. Swoboda pozostawiona jest zupełna. Każdy może zajmować się własną specyalnością.

Najlepsze towarzystwo paryskie bierze żywy udział w losach „związku“. Profesorowie, adwokaci, senatorowie pracują w jego dyrekcyi, komitetach i komisyach. Panie oddają mu swój czas i pracę. Gdy kto z członków zachoruje, damy światowe i panny pielęgnują go, przyjmując na siebie rolę sióstr miłosierdzia.

Kilka razy do roku związek wydaje wieczory, na które zaprasza obcych mężczyzn i panie. Każdej niedzieli bywają na obiedzie w związku goście, często całe rodziny. Tym sposobem młodzi ludzie zawiązują znajomości i stosunki.

I wszystkiem tem zajmują się ludzie, ożywieni jedynie miłością chrześcijańską. Żadnych korzyści bezpośrednich, ani pośrednich z tego nie mają, nie dostają ani pensyj, ani nagród, ani nawet nie zyskują popularności, bo praca na tem polu dokonywa się w ciszy, bez reklamy i rozgłosu.

Iluż członków liczy ta „Union chrétienne?“ W Paryżu — przeszło półtora tysiąca, a sumując wszystkie cyfry, jakie dają inne kraje, otrzymamy pokaźną liczbę około pół miliona.

To armia pokoju i pracy.

Jakże instytucya ta godną jest naśladowania! Jakże pożyteczne byłyby i w innych krajach takie urządzenia, które, wychodząc z szeroko, rozumnie, a po chrześcijańsko zrozumianych zasad etycznych, dążyłyby do zjednoczenia młodych ludzi, zapewniając im korzyści towarzyskiego życia, łagodząc tak ciężkie nieraz warunki nauki uniwersyteckiej i walki o byt.

Wszyscy prawie, którzy z bliska poznają tę instytucyę, stają się jej przyjaciółmi i zwolennikami. Pewien bogaty Amerykanin zwiedził niedawno urządzenia „związku“ i został niemi zachwycony. Spostrzegłszy, że w domu „związku“ nie wszędzie jest elektryczne oświetlenie, sprowadził na własny koszt dla tej instytucyi z Ameryki wielką dynamo-elektryczną maszynę za 60 tysięcy. Wkrótce maszyna ma nadejść do Paryża.

Amerykanie, Niemcy, Anglicy, a ostatniemi czasy podobno i Rosyanie, zwrócili uwagę na organizacyę paryskiego „związku chrześcijańskiego“ i mają naśladować zasady jej organizacyi. Z czasem może i w innych krajach powstaną podobne instytucye.

ROZMAITOSCI.

Szanujcie papier drukowany. . .albowiem zasługa jego jest nieskończona“.

Niestety, niepodobna tego powiedzieć w Europie, a nawet Ameryce. Papier w świecie cywilizowanym jest — za cierpliwym i za obfitym, aby go można było ryczałtem wprowadzać na Kapitol. Powtórzyliśmy też poprostu maksymę chińską, drukowaną na brzegach gazet państwa środka, tytułem dewizy. I nie jest to czcze zalecenie. W sklepach, domach mandarynów i urzędach skrupulatnie zbierają gazety i czytają je co pewien czas nanowo, dopóki arkusze nie przemienią się w strzępy. Wówczas przychodzi urzędnik, do którego obowiązków należy czuwanie nad godziwym końcem zadrukowanego papieru, zabiera strzępy i niesie je do „Wen-Maio“ czyli świątyni literackiej, gdzie idą na ogień w stosownem krematoryum. Co kraj to obyczaj.

Zanim dalej pójdziemy w tej opowieści o dziennikarstwie chińskiem, należy się mała restytucya honoru — „starszeństwa“ świeżo zupełnie dokonana. Otóż dotychczas mniemano powszechnie, że najstarszą gazetą chińską jest *Gazeta Pekińska* (Kin-Pao) tymczasem konsul francuski z Kantonu dowiedział się z ksiąg, okazanych sobie przez Chińczyków, że najstarszem czasopismem chińskiem jest *Tsing Pao*, która wychodziła na 710 lat przed N Chr. Byłaby to staruszka dwa razy sędziwsza, o ile data jest dokładna.

Szangaj jest dziś główną siedzibą gazet. Doliczyć się ich można obecnie 20, choć przed wojną chińsko-japońską wychodziły zaledwo cztery. Kultura zachodnia wdziera się do Chin głównie na tem polu, przynosząc z sobą swe dobre i złe strony. Tak np. reklama i ogłoszenia znane są już wybornie kupcom chińskim, którzy się niemi posługują nie gorzej od swoich kolegów europejskich. Dzienniki chińskie drukują na czele swych numerów sążniste i jaskrawe reklamy, a nawet wychodzi rodzaj pisma specyalnie ogłoszeniowego, jako wskazówka dla przyjezdnych. Natomiast dział depeszowy mocno szwankuje. Dziennikom nie chodzi o pospiech, nie cenią też usług telegrafu. Tłumaczą one poprostu wiadomości depeszowe z gazet zagranicznych.

Rubryka odpowiedzi redakcyi idzie zwykle zaraz po nieuniknionym artykule wstępnym i zwykle bywa nader obfitą Pochodzi to z wielkiej skwapliwości Chińczyków do uczenia się i tej ciekawości, która nie do piekła prowadzi, lecz do nabycia wiedzy. Obok rubryki zagranicznej w gazetach chińskich szeroko bywa uwzględniana rubryka wiadomości wewnętrznych, oraz kronika wypadków, nie różniąca się od prototypu europejskiego. Szczególną jej tylko cechą jest częste poszukiwanie zaginionych dzieci porywanych przez rozbójników.

Kto chce zostać w Chinach dziennikarzem, powinien przedewszystkiem znać dokładnie klasyków. Oryginalność jest tam mniej pożądana aniżeli cytaty, które zastępują w pojęciu chińskiem styl. Stewart Lonhast powiada między innemi: „Cytat stanowi pierwszy warunek kunsztu literackiego i Chińczyk który w zwykłych warunkach nie umie cytować zdań uczonych ze starych ksiąg, nie ma prawa zajmować się literaturą, jak Europejczyk, który pozostaje w niezgodzie z ortografią i gramatyką“.

W zakresie szowinizmu i nienawiści do wszystkiego, co obce, dzienniki chińskie pracują zawsze gorliwie i one to ponoszą niewątpliwie część odpowiedzialności za dzisiejszą zawieruchę na Wschodzie. W czasach wojennych rozpoczynają one szczególną akcyę podszczuwającą, zupełnie przeceniając siły własne a niedoceniając sił Zachodu. Ciekawa jest rzecz, iż pewna część tych gazet szowinistycznych wydawana jest z pomocą kapitałów zagranicznych np. angielskich, być może bez świadomości ich roli.

Wśród czasopism chińskich ma swych przedstawicieli i humorystyka. Tygodnik *Hu-pan*, wychodzący w zeszytach w ósemce, z zieloną okładką, przeważnie ośmiesza cudzoziemców. Każdy zeszyt tygodnika zawiera 12—20 stronic ilustracyi i kilka stronic tekstu. Ilustracye są czasami zręczne i dobrze odbite na papierze ryżowym. Przedstawiają one sceny pomiędzy Chińczykami a Europejczykami. Chińczycy przedstawiani są stereotypowo w kapeluszach t. zw. melonach i posiadają ukośne oczy. Podczas wielkich starć z Europejczykami lub Japończykami gazety przynosiły również ilustracye z wyobrażeniem fantastycznych zwycięztw Chińczyków, przyczem „obce djabły“ i „barbarzyńcy“ przedstawieni byli w najopłakańszym stanie. Co prawda, takie „koloryzowanie“ faktów nie stanowi wyłączności Chińczyków.

Braut-Seiden-Robe fl. 10.50 und höher! — 14 Meter — porto- und zollfrei zugesandt! Muster zur Auswahl, ebenso von schwarzer, weisser und farbiger „Henneberg-Seide“ für Blousen und Roben, von 45 Kreuz. bis 14.65 fl. p. Meter.
Nur ächt, wenn direkt von mir bezogen!
G. Henneberg, Seiden-Fabrikant, Zürich
Königl. und Kaiserl. Hoflieferant.

Bieliznę prof. dr. Jägera poleca Magazyn Schayerów we Lwowie.

Oliwę i pasy do maszyn poleca W. CZOPP, ul. Żółkiewska 2.

Na sezon! otrzymaliśmy właśnie transport i polecamy po cenach najniższych: **Rogóżki kokosowe**, szczotkowe i plecione w różnych wielkościach. **Chodniki kokosowe, Chodniki z Linoleum, Chodniki ceratowe** w kilku szerokościach. **Prześcioółki z Linoleum, Prześcioółki ceratowe** w różnych deseniach i rozmiarach. **Maty japońskie** na ściany i przed łóżka. **Ceraty na stoły i meble** wszystko bardzo gustowne i w wielkim wyborze poleca
FRIEDRICH & BEACOCK
Lwów, ulica Hetmańska 4, obok cukierni W-go Grossa

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.